

Michał 'Veron' Tusz

"G.G.", albo "Groza (w) Gecko, czyli gadu-gadu o gnuśnych ghulach"

Dzień powoli zbliżał się o końca. Sean i Lisa byli bardzo zmęczeni. Wędrowali już drugi tydzień, przemierzając niezmierzone połacie pustyni. Prażące słońce paliło im skórę na ramionach, pot spływał po plecach, nogi rwały z wycieńczenia. Co chwila potykali się o wystające gdzieś ostre kamienie, kalecząc sobie stopy i kostki. Uciążliwe owady dokuczały i gryzły, wzmagając poczucie dyskomfortu. Ale oni mimo wszystko szli dalej.

Uciekali. Uciekali przed czymś, czego uświadczili kilka dni temu. Było to coś, czego nie wyobrażali sobie w najgorszych koszmarach. Słyszeli o tym, owszem, ale nigdy nie spodziewali się z tym spotkać. W miejscu, z którego oboje pochodzą, krąży legenda o zmutowanych, strasznych, przypominających chodzące trupy, namiastkach ludzi, którzy napadają i pożerają niewinnych i niczego niespodziewających się osadników. Były to jednak mity, którym na dobrą sprawę nikt nie dawał wiary. Ludzie opowiadali je sobie, by dla żartu nastraszyć się przed snem. Czasami nawet chciało im się brudzić błotem, by potem wrzeszcząc i machając ramionami próbować wzbudzać trwogę. Przeważnie kończyło się to jednak na salwie śmiechu. Do czasu.

Kilka dni wcześniej dane im było zobaczyć prawdziwych ghuli, jak zwykli ich nazywać ludzie pochodzący od tych, którym udało się przetrwać wojnę w niezmiennym stanie. Było to traumatyczne doświadczenie zwłaszcza, że nigdy nie spodziewali się go przeżyć. Parę dni temu grupa ghuli napadła na osadę, w której mieszkali. Wymachując i strzelając bronią przepędzili niemal wszystkich mieszkańców, w większości nieuzbrojonych koczowników i pustynnych handlarzy. Zranili nawet ich przyjaciela. Sean i Lisa nie mieli jednak czasu na ratowanie kogoś, gdyż musieli chronić siebie. Dlatego też zbiegli, wbrew sobie i swym sumieniom. Nie mieli jednak innego wyjścia.

Teraz szukali schronienia przed zbliżającą się nocą. W oddali ujrzeli zarys kilku budynków. Doszli do wniosku, że jeśli będą puste, mogą tam przenocować. Po około dwudziestu minutach dotarli do znaku, na którym widniało kilka liter.

- "ECKO"? – Sean spojrzął na Lisę. – To jakaś wioska?

- Nie wiem – odrzekła dziewczyna, rozglądając się wokół. – Wygląda na opuszczoną. Co to może być?

Sean spojrzął w kierunku pokazywanym przez Lisę. Oboje patrzyli na ogromną budowlę, nad wejściem której ujrzeli napis "Poseidon Oil".

- Chyba jakaś stara fabryka? Może lepiej sprawdźmy tamten dom – Sean wskazał ręką na budynek stojący nieco na prawo od nich. – Wygląda na najsolidniejszy.

W sprawiającej wrażenie opustoszałej wiosce panowała cisza, przerywana od czasu do czasu cichym skowytem silniejszego zefiru. Wiatr poruszał okiennicami bez szyb, stukając nimi o futryny cicho i miarowo. W niemal żadnym domu nie było drzwi, stare zniszczone sprzęty leżały bezładnie rzucone pod ścianami. W powietrzu unosił się dziwny zapach, przypominający fetor padliny. Znali ten swąd. Przemierzając pustkowia kilka razy zdarzyło im się napotkać martwe, dziwnie wyglądające zwierzęta z wielkimi pazurami. Nie chcieli myśleć, co mogłoby się z nimi stać, gdyby przyszło im zmierzyć się z takimi stworami.

Podeszli do budynku. Złożony ze starych, ogromnych kawałów blachy z bliska nie wyglądał już tak pewnie, choć na tle pozostałych malował się jako najtrwalszy. I miał

drzwi. Sean wziął głęboki oddech i ostrożnie pchnął drzwi. Zajrzeli do środka. Wewnątrz panował półmrok.

- Czemu tu tak ciemno? – mruknął Sean.

- Okna są pozasłaniane – szepnęła Lisa.

Sean przeszedł przez wejście, rozglądając się wokół siebie szeroko otwartymi oczyma. W pomieszczeniu, który wyglądał jak dawna, zniszczona knajpa nie było żywego ducha. Na rozległej sali poustawianych było kilka stolików, jeden z nich leżał w częściach pod ladą na wprost wejścia. Krzeselka stały w całkowitym bezładzie. Za barem ujrzeli wypełniony butelkami regał. Naprzeciw niego widniały zamknięte drzwi.

Sean zerknął na Lisę, która przylgnęła do jego ramienia.

- Chyba może być, co?

Lisa kiwnęła głową.

- Chociaż... jakoś tutaj... dziwnie.

- Daj spokój, wolisz spać w tamtych ruderach? Znajdźmy sobie miejsce, żeby się położyć. Jestem skonany.

- Czekaj!... Co to było?! – krzyknęła nagle Lisa.

- Co?

- No ten stukot, nie słyszysz?

Sean wyętył słuch. Jego uszu doleciał dziwny dźwięk zza zamkniętych drzwi w rogu sali. Ruszył w ich kierunku.

- Sean...

- To pewnie szczury – odrzekł chłopak i sięgnął klamki. Nie zdążył jej jednak dotknąć, gdy dobiegł go wrzask Lisy. Odwrócił się w jej kierunku. Wskazywała ręką na bufet. Spojrzał w tamtą stronę. Za ladą stał ogromny ghul. Wytrzeszczył oczy i wyciągnął okropne ręce przed siebie. Jego skóra była zgniłozielona, u dłoni nie miał kilku palców. Przeskoczył nad barem i ruszył powoli w jego kierunku.

- Sean, za tobą!

Sean, który stał jak zahipnotyzowany, obrócił się na pięcie. Zza zamkniętych dotąd drzwi, teraz rozwartych na oścież, zbliżało się do niego około dziesięciu innych ghuli. Mieli okropnie poparzoną skórę, niektórzy byli bez oczu, a jeszcze innym niemal widać było wnętrzości przez dziury w ciałach. Z ust toczyła im się szara piana. Ich wycie pulsowało mu w głowie. Sean odwrócił się i zobaczył jak jeden z nich zatrzaskuje drzwi wejściowe. Inny zbliżał się do Lisy, która kurczyła się pod ścianą i wrzeszczała w niebogłosy. Podbiegł do niej i objął ramionami. Chmara chodzących zombie była coraz bliżej. Zacieśniali się wokół nich, wyciągając przerażające ręce. Sean przytulił Lisę i zamknął oczy. Czuł muskające ich zmutowane dłonie i cuchnący oddech. Wiedział, że zaraz przyjdzie im zginąć...

Wtedy... ktoś potężnie kichnął. Zapanowała cisza. Do uszu Seana i Lisy doleciał niski, rozeźlony głos:

- Jasna cholera, Godfrydzie! Czy ty zawsze musisz odzywać się wtedy, gdy nikt cię o to nie prosi?!

Sean otworzył oczy. Ktoś rozsunał zasłony w oknach i salę wypełniło światło zmierzającego ku horyzontowi słońca. Oboje ujrzeli przedziwną scenę. Ghule, kręcąc głowami i machając rękoma ze zrezygnowaniem, rozchodzili się do stolików i jakby nigdy nic się nie stało siadali do stolików. Po chwili lokal wypełnił zwyczajowy w takich miejscach gwar. Ghul, który wyszedł zza lady, zbliżył się do skulonej pary.

- Wybaczcie nam ten niewinny żarcik, hehe – powiedział, wyciągając zmutowaną rękę. – Jestem Wooz, barman i właściciel tej rudery, którą zwą "Harfą".

Sean i Lisa wciąż nie mogli wydobyć z siebie słowa. Ghul Wooz uśmiechnął się.

- Nie miejcie nam tego za złe, naprawdę mamy tu niewiele okazji do rozrywki. Prawda, moczymordy?

- Prawda! – odpowiedzieli siedzący za stolikami ghule.

- Widzicie? No, to już, na zgodę – Wooz ponownie wyciągnął dłoń w ich kierunku. Sean i Lisa patrzyli na niego ze zdumieniem. Nie wierzyli w to, co słyszeli. To wszystko było tylko kawałem, wykręconym przez znudzonych zombiaków?

Wooz zniecierpliwiał się.

- No, wstawajcie. Nikt was tutaj nie zje. Godfryd już i tak wszystko zepsuł.

- Moja wina, że mam uczulenie na tę spelunę? – odparł przysadzisty ghul, siedzący przy stoliku obok bufetu.

- Więc po jaką cholere w ogóle tu przychodzisz?! – zaperzył się Wooz. – Śmierdzisz prawie jak Mózg i przyciągasz muchy. Wiedźcie, że śmierdzieć prawie jak Mózg to nie lada wyczyn – zwrócił się w ich kierunku.

- Przyszłem, bo przyszedłem. Mam powody – mruknął Godfryd.

- Poczekaj aż ja znajdę powody, żeby skopać ci dupę!... – odparł Wooz, zmierzając w stronę baru. – I naucz się w końcu mówić poprawnie.

Stanął za ladą i krzyknął do Seana i Lisy:

- Siadajcie, po takich przeżyciach trzeba się napić, hehe!...

Sean i Lisa siedzieli jak skamieniali. Patrzyli na gromadę zmutowanych ludzi, którzy wesoło gaworzyli i przyjaźnie spoglądali w ich kierunku. Było to tak nedorzeczne, że aż zabawne. Sean w końcu poruszył się. Lisa ścisnęła jego ramię.

- Nie wierzę w to, co powiem, ale... – zaczął Sean – chyba są w porządku...

- Oczywiście, że jesteśmy w porządku! – krzyknął Wooz. – No dalej, siadajcie. Czego się napijecie? "Promienny Łyk"? "Rum Rentgena"? "Uśmiech Traktorzysty"?

- Nie bierzcie rumu – powiedział wysoki, chudy ghul siedzący przy stoliku pośrodku sali. – Od tego świeci się bardziej od świecących...

- Świecących? – zapytała Lisa.

- Taa... Ci bardziej napromieniowani od nas, zwykłych umarłaków – odparł Wooz. – Dupki i darmozjady.

- Napromieniowani? To znaczy, że wy również jesteście radioaktywni? – rzekł Sean, siadając na wysokim krześle przy barze.

- W niewielkim stopniu. To kolejny mit, którym straszą się gładkoscórki... To znaczy – ludzie tacy jak wy – powiedział Wooz, stawiając przed nimi literatki i wlewając doń zawartość butelki z napisem "Promienny Łyk". – Podobnie jak tym, że was zjadamy. Na zdrowie.

Sean i Lisa wzięli swoje kieliszki i opróżnili je. Drink był wyśmienity.

- A więc, co was tutaj sprowadza?

Pokrótce wyjaśnili jak i dlaczego znaleźli się w wiosce, której nazwa naprawdę brzmiała Gecko.

- No ciekawe, ciekawe – mruknął Wooz. – No cóż, niektórym zdechłakom odwaliło i wyczyniają takie głupie rzeczy. Ale my tutaj, to sami swoi. Gościmy już z resztą jednego gładkoscórka... O wilku mowa...

Oboje spojrzeli na drzwi wejściowe, które rozwarły się z impetem, uderzając i przewracając przy tym ghułowego karzełka, stojącego przy nich niczym bramkarz. Przeszedł przez nie elegancko ubrany, starszy pan. Nie mieli pojęcia, skąd mógł się tutaj wziąć, bowiem zupełnie nie pasował do otoczenia. Szedł wyprostowany, we fraku i z muchą pod szyją. Wyglądał jak wyjęty z dawnych filmów gangsterskich.

- Dzień dobry, panie Hot-Dog! – krzyknął Wooz.

- Nazywam się Burger – warknął przybysz.

- Tak, tak, nieważne – machnął ręką barman. – Deser już na pana czeka.
- Tak? To poproszę. Mam ochotę na coś słodkiego...
- Rufus Deser. Jest na zapleczu.
- Ach... – Burger zrobił głupią minę, która po chwili zmieniła się z powrotem na wyniosłą, dumną i zagniewaną, i szybko udał się w kierunku zamkniętych drzwi w rogu sali. Otworzył je energicznie i wszedł do środka, zatrzasnąjąc je za sobą.
- Odtąd już nikt nigdy więcej o nim nie usłyszał – skwitował Wooz.
Cała sala wybuchła śmiechem. Karzełek przy drzwiach wstawał powoli głośno przeklinając.

Sean i Lisa spojrzeli po sobie, nie wiedząc, czy się uśmiechnąć, czy zachować powagę.

- Głupi piernik – mruknął Wooz.
- Ma za swoje! – krzyknął stary ghul siedzący przy drzwiach wejściowych. – Mógł się nie rzucać, kiedy się tu pojawił. Jak Kuba Bogu... tak Bóg Kubańczykom!
- Racja, Kleofasie! Wypijemy?
- A jakże! – ghul Kleofas rąbnął szklanką w stół. – Chluśniem, bo uśniem!
- Łykniem, bo odwykniem! – krzyknął ktoś z środka sali.
- Pijemy aż umrzemy! – dodał Wooz i mruknął do Lisy. Cała sala opróżniła kieliszki i buchnęła kolejnym gromkim śmiechem.
- Z czego tym razem się śmiejecie? – zapytała dziewczyna. – I co się stało z tym facetem?
- Odwiedził Rufusa – odrzekł Wooz, – więc pewnie już go nie zobaczymy. Rufus to nasz oswojony, wiecznie głodny szponek.
- A śmiejemy się – dodał Kleofas, – bo nawet jeśli chcielibyśmy umrzeć, nasza zieloność nam na to nie pozwala.
- Nie rozumiem.
- To przez to cholerne promieniowanie – rzekł Wooz – jesteśmy tak diabelnie długowieczni. Kleofas na ten przykład ma już dwieście czterdzieści siedem lat.
- Osiem – Kleofas poprawił go z dumą.
- No właśnie. Powiedz im, Kleofasie, co robiłeś, żeby dożyć tak sędziwego wieku, he?
- Czekałem – ghul uśmiechnął się szeroko. – Z resztą Lenny mi mówił, że mam już wszystko: żyłaki, reumatyzm, astmę, anemię...
- Tak? – zdziwił się Wooz. – Cholera, w takim razie czego ty nie masz?
- Zębów – odparł Kleofas. Cała sala po raz kolejny wybuchła gromkim śmiechem. Tym razem również i Sean przyłączył się do ogólnego rechotu.
- Kim jest Lenny? – zapytała Lisa.
- Nasz miejscowy lekarz – wyjaśnił Wooz, – straszna zrzęda. Ma specyficzny sposób wystawiania się i barwę głosu. Niedługo się tu zjawi, wtedy go poznacie...
- Aaaaa... pamiętam, pamiętam... – krzyknął nagle siedzący samotnie tuż obok zamkniętych drzwi na zapleczu, mocno zgarbiony ghul.
- To coś nowego, Ananiaszu – rzekł Wooz, – cóż takiego pamiętasz?
- Pamiętam czasy sprzed wojny, taaak... hmm... – rozmarzył się ghul Ananiasz. – Byłem pracownikiem prywatnego szpitala publicznego... taaak... to były czasy... Lenny mi mówił, że mam sklerozę – dodał zupełnie innym tonem.
- A jak się ona objawia, Ananiaszu?
Ghul wyprostował się i spojrzał na niego ze zdziwieniem.
- Co się objawia?
Wooz uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Wyobraź sobie... – rzekł nagle ghul siedzący obok Ananiasza, pomarszczony jak zmutowane zgniłe jabłko – wyobraź sobie, poszedłem z żoną do kawiarni... Zamówiłem lody i tak siedzimy sobie, siedzimy... Patrzę na lody, to na tę osobę siedzącą naprzeciw i zastanawiam się, skąd ja znam to ohydne babsko?

- Hej, Hank, masz przedwojenną retrospekcję? – powiedział Wooz z złośliwym uśmiechem. – Ty? Na lody? Chyba w polewie z czystego spirytusu.

Hank nagle wstał, odsuwając z rumorem krzeselko. Zachwiał się, wyciągnął rękę w kierunku Wooza w ostrzegającym geście i, chcąc usiąść ponownie, runął całym ciężarem na podłogę. Błyskawicznie pozbiierał się i wstał wśród ogólnego śmiechu. Przynął siedzenie i zajął się swoim kieliszkiem. Wooz pokręcił głową z politowaniem.

- To Hank Over, nasz miejscowy żul. Bywał już w gorszym stanie, ale... – Hankowi wypadła literatka, a on sam wpadł pod stolik. – W chwili obecnej... powącha piwo i mdleje...

- Wiedz... – krzyknął Hank, opierając się na blacie – że żona nigdy nie karmiła piersią mego syna!... Od urodzenia pił z butelki... żeby od początku wiedział z czego się pije w życiu!... O!...

- Wiesz co, Hank? – Wooz skrzyżował ręce na klatce piersiowej. – W swoim za długim życiu poznałem tylko jednego gorszego świra od ciebie. Był to ksiądz, który organizował zapasy zakonnice...

- Opodatkować napiwki!... – wrzasnął Hank.

Wooz spojrzał na niego gniewnie.

- No, no, Hank, ciężko ci? Pomyśl, że jedziesz z górki i uspokój się, nim powiesz o słowo za dużo. Wziąłbyś się lepiej za jakąś robotę. Chcesz? Pogadam z Haroldem. Może znajdzie ci coś przy reak...

- Robota to głupota... – przerwał mu Hank, czkając głośno – picie to jest życie...

Wooz machnął na niego ręką. W tym momencie drzwi wejściowe rozwarły się z hukiem, a karzeł-ochroniarz ponownie poleciał na ścianę. Do baru wpadł niski ghul z przerażeniem wypisanym na twarzy.

- Hej, Alceście, bo mi zabijesz Farmera! – krzyknął Wooz. Ghul nazwany Alcestem podbiegł do lady i próbował schować się za nią.

- Ratujcie mnie!... – wydyszał – Petranela... jest wściekła...

- Co znowu zrobiłeś?

- Ja? – powiedział przeciągle. – A co ja mogę?... Jej wiele nie trzeba...

- Idzie tutaj?

- Nie wiem. Jeszcze pracuje.

- To skąd wiesz, że jest na ciebie zła? – Wooz nalał do kieliszka rumu i podał Alcestowi.

- Och... to wibracje powietrza... Ona... nie wiem jak, ale po prostu wie... – szybko opróżnił kieliszek.

- Co wie, do cholery?!

Alcest pokręcił głową, usiadł na pojedynczym krzeselku po ścianą i grzecznie położył ręce na kolanach. Wooz zrozumiał, że więcej się od niego nie dowie, więc zwrócił się w kierunku Seana i Lisy i wrzucił ramionami.

- Kim jest Mózg? – zapytała nagle Lisa. – Mówiłeś, że... – stłumiła śmiech – Godfryd śmierdzi prawie jak Mózg...

- Mózg... to szczur. Nie patrzcie się tak na mnie. To przerośnięty, śmierzący, gadający szczur. Wpieprza bez przerwy serowe chrupki, puszcza bąki i chce przejąć władzę nad światem. Tak twierdzi. Gorzej od Mózga śmierdzi jedynie Lumpy.

- Kim on jest? – spytał Sean, zastanawiając się nad tym jak może wyglądać wielki szczur Mózg.

- Pomocnik Skeetera, naszego mechanika (a przy okazji oszusta.) Chodzi z szufelką za braminami i czeka aż łaskawie złączą srać. A że karmi je ziemniakami i krochmalem, to cierpią na permanentne rozwolnienie i przeważnie srają na niego. Stąd ten smród...

- Hej, Wooz, daj booz! – krzyknął Godfryd, który przysłuchiwał się ich rozmowie. Barman spiorunował go wzrokiem. – Mózgowi i Lumpy'emu rośnie konkurencja. Słyszałeś, że Woody się znalazł? Percy mi mówił.

- Coś takiego! Gdzie był?

- W Norze. Udawał mumię, żeby zarobić na coś mocniejszego. Ten to dopiero wali...

Wooza dopadł atak histerycznego śmiechu. Sean i Lisa patrzyli na niego ze zdziwieniem. Po chwili opanował się.

- Wybaczcie... To było dobre...

Drzwi do baru ponownie się otwały i weszło do niego kilku ghuli. Trzech niezwykle roślących i umięśnionych zmutowanych mężczyzn skierowało się w stronę bufetu. Ustawili się w szeregu i każdy z nich głosem bardziej piskliwym od poprzednika, rzekł:

- Pączek!

- Z dżemem!

- Marmolada!

Wooz wyjął butelkę "Promiennego Łyku".

- Biercie i spadajcie.

Trzech potężnych ghuli ukloniło się i ponownie krzyknęło:

- Pączek!

- Z dżemem!

- Marmolada!

Wyszli z baru. Była to najdziwniejsza scena jaką Sean i Lisa mieli kiedykolwiek okazję ujrzeć.

- Nie pytajcie... – szepnął do nich Wooz. – Hej, Jeremiaszu! Odczep się od tej młodej damy!...

Lisa odwróciła się i wzdrygnęła. Obok niej stał ghuł z rękoma w kieszeni i w wąchał się w jej włosy. Spojrzał na Wooza z niechęcią i odsunął się od Lisy, siadając jednak niebezpiecznie blisko i wciąż wpatrując się w nią z pożądaniem. Lisa odwróciła się od niego z obrzydzeniem na twarzy.

- Sam widzisz, że ta pani ma wrażliwą infrastrukturę emocjonalną – rzekł Wooz. – Daj jej spokój. Nie zwracaj na niego uwagi – powiedział do Lisy, – później od onanizacji znowu dostanie padaczki...

- Wiesz, skarbie, że miłość jest jak ziewanie? – powiedział Jeremiasz, nachylając się ku Lisie. – Zazwyczaj kończy się w łóżku...

- Ty, masz kaloryfer? To skorzystaj z żeberek!... – Sean zdenerwował się i zsiadł z krzesła barowego.

Jeremiasz momentalnie odsunął się od Lisy. Przez salę przebiegło ciche "Uuu!..."

- Och, jaki porywczy – rzekł Jeremiasz ze słabym uśmiechem. – Powiem ci jedną rzecz synu: największy grzech to zostawić kobietę samą. Zapamiętaj...

Sean już ruszył w jego kierunku, ale Lisa powstrzymała go.

- Słusznie, mała... – skwitował Jeremiasz.

- "Mała" to jest twoja pała – mruknęła Lisa. Cała sala wybuchła śmiechem. Jeremiasz, trudno to sobie wyobrazić, poczerwieniał i przypominał zgniłą śliwkę węgierkę. Szybko się jednak otrząsnął i ruszył w kierunku drzwi.

- Nie można krępować miłości, jak mówią stare prostytutki – powiedział na odchodnym. – Żegnajcie, płytkie istoty. Idę swojego ula. Jak mówił mój wujek pszczelarz: gdzie miód tam i bzykanie...

Opuścił bar. Wozz pokręcił głową.

- To akurat ta mroczna strona Gecko... Dzień dobry, pani Hectic!

Do baru weszła malutka kobieta-ghul z wściekle czerwoną torebką na ramieniu. Trzymała za rękę strasznie wysokiego ghula w żółtej bejsbolówce, który wchodząc zgiął się niemal wpół. Gdy się wyprostował, zaczął z zaciekawieniem rozglądać się wokół siebie. Głową pani Hectic wstrząsały dziwne tiki. Poprowadziła wysokiego ghula do stolika i usiadła.

- To co zwykle? – zapytał Wozz.

Pani Hectic kiwnęła głową i mimowolnie zaczęła nią machać wertykalnie. Wozz przyniósł jej zamówienie i złapał za głowę, nieco uspokajając jej odruchy. Wysoki ghul zaczął pożądliwie wpatrywać się w przyniesione jedzenie.

- Jakim zwierzęciem jest dzisiaj Daniel?

- Gekonem! – pisnęła pani Hectic. – Obślizgłym, odrażającym gekonem. Wyobrażasz to sobie?

Wozz zrobił zatroskaną minę i wrócił za ladę. Sean i Lisa spojrzeli na niego.

- Powiedzmy, że oboje mają świra – szepnęła.

- Jedna dla ciebie, dwie dla mnie – mówiła pani Hectic, dzieląc porcje. – Jedna dla ciebie, trzy dla mnie...

Nagle z zewnątrz doleciały jakieś dziwne dźwięki.

- Och... To ci cholerni imigranci... – jęknął Wozz.

- Imigranci? Skąd?

- Z jakiegoś dziwnego kraju. Hank uchodziłby tam za niepijącego... Polska, czy jakoś tak...

Do baru weszło dwóch ghuli z potężnymi brzuchami i krawatami w biało-czerwone pasy.

- Kukuryku! – krzyknęli na powitanie. W "Harfie" zapadła cisza.

- Co jest, ponuraki?

- Uśmiech na twarz!

- Ach, już wiem, co ich tak przeraziło. Słyszysz to?

- Tak... słyszę... coś piszczy...

- Co tak piszczy?...

- Bieda! – krzyknęli naraz. Śmiejąc się, podeszli do baru i powiedzieli jednocześnie:

- Wóda!

Wozz bez słowa wyciągnął zza lady butelkę.

- Wódzia grzeje, wódzia chłodzi... – powiedział jeden z przybyszów, wpatrując się w sprawne ruchy barmana.

- Wódzia nigdy nie zaszkodzi... Zdrówko! – obaj jednym haustem opróżnili szklanki.

- Może coś słodkiego do przegryzienia? – zapytał Wozz z niesmakiem wypisanym na twarzy.

- Ze słodczy ja tylko kiszzone ogórki.

- A ja śledzie.

Przybysze zaśmiali się i usiedli przy stoliku dokładnie pośrodku sali.

- Dajcie tu jakąś muzyczkę! – krzyknął jeden z nich.

Zaczęli głośno ze sobą rozmawiać, od słowa do słowa dochodząc w końcu do sprzeczki. Nagle jeden z ghuli walnął pięścią w stół i krzyknął:

- Twoja stara szczeka na pociągi!

- A twoja wyżera z odkurzacza!

- Co to odkurzaczy, matulu? – zapytał Daniel pani Hectic.

- Dawny przyrząd masturbacyjny. Jedz, jedz – odpowiedziała mu matka.

Dwaj najbardziej hałaśliwi ghule w kantine zachowywali się coraz głośniejsze. W końcu Wooz nie wytrzymał:

- Dość tego! Pomatak, Inkaust – won!

- Spokojnie, Woozy-boozy, najpierw pojedynek – odpowiedział ghul Pomatak. Wstał i szybko wychylił kieliszek alkoholu. Ghul Inkaust zrobił to samo. Zaczęli się w siebie wpatrywać. Wooz dodał ostrzegającym tonem:

- Panowie, jeśli rozpętaacie tu burzę, będę zmuszony odwołać się do zasady interwencji wobec obywatelskiego nieposłuszeństwa!

Wszyscy oprócz Pomataka i Inkausta spojrzeli na niego. W sali barowej zapadła cisza. Oczy klientów "Harfy" wpatrzone teraz były w dwóch gotowych do boju ghuli. Patrzyli na siebie z wyraźną nienawiścią. Nie chciało się wierzyć, że przed chwilą zachowywali się jak najlepsi przyjaciele. Atmosfera gęstniała. Czuć było w powietrzu negatywne fluidy. Wszyscy wiedzieli, że zaraz stanie się coś złego. Wtedy...

- Liście na liście! – krzyknął Pomatak.

- Ramię w ramię! – odpowiedział Inkaust.

- Listopad! List opadł!

- Ampułki! Na półki!

- Właśnie!

- Właż! Nie!

- O, koło! Około!

- Wreszcie jest w reszcie!

- Starcie na starcie i tarcie na tarcie!!!

- Zarazem razem raz za razem!!!

Pomatak zamilkł. Inkaust uśmiechnął się tryumfalnie i skierował do wyjścia. Nie odwracając się za siebie powiedział:

- Żegnam oziębłe...

Po czym wyszedł. Pomatak po chwili dołączył do niego ze słowami:

- Z domieszką gorzkości...

Po kilku chwilach na sali znów zapanował zwyczajowy gwar. Wooz westchnął i rzekł do Seana i Lisy:

- Chyba wolałbym mieć siostrę...

- Ja mam cztery – odrzekł chłopak. – Chętnie zamieniłbym je na dobrego psa...

Lisa klepnęła go w bark.

- Hank, dokonałeś cudu! – powiedział nagle Wooz, patrząc na pijanego ghula. – Wstałeś!

Hank pokazał mu środkowy palec.

- To mi coś przypomniało – rzekł niespodziewanie stary Kleofas. – W mojej Kryptyce karmiono nas tylko bobem i kwaszoną kapustą. Smród był podobny do tego w norze Mózga. Opracowałem Schronowy Hiperwentylacyjny Inhalator Toksyn. W skrócie SHIT. To był wspaniały wynalazek...

- Nie zapominaj, Kleofasie, że była to Krypta większości nas tu obecnych – powiedział Wooz. – Ja również opracowałem pewien projekt. Frekwencyjny Unikalny Ciosacz Katafalków. W skrócie FUCK. Niestety, nie przydał się nikomu...

Do baru wpadła nagle przysadzista ghulica. Energicznie obiegnęła salę i szybko wypatrzyła ghula Alcesta.

- Alceście, co ma znaczyć ten ohydny kolor na mojej ścianie?! – wrzasnęła.

Alcest jęknął.

- Witaj, Petranelo – rzekł Wooz, spoglądając ukradkiem na Alcesta, który zrobił się bladozielony. – Czyżbyś farbowała włosy? Czy to głęboki burgund? A może śliwkowa oberżyna?...

- Nie, to czerń typu Kongo – przerwała mu Petranela, surowo wpatrując się w męża. – Nie zagaduj mnie, Wooz, rozmawiam z mężem. Gdzie byłeś do tej pory?

- Piłem!... – odrzekł buńczucznie Alcest. – Piłem, bo to jedyna moja ucieczka od ciebie!...

- Ach, tak?!...

- Tak! – przerwał jej Alcest, wstając. – A wiecie, że ostatnio nawet nie obudziła mnie do roboty?! Taka już się zrobiła!

- Jak to nie! – zaperzyła się Petranela. – Zawsze cię budzę, obiboku!

- Ale nie, gdy mamy ciche dni. Mówię jej: obudź mnie o piątej rano. Wstaje, patrzę na zegarek – godzina siódma. Złapałem kija, cholera, mówię: zabiję, patrzę na stolik a tam kartka: "Stary wstawaj, bo już piąta"!...

- I to ci powinno wystarczyć!

- Jej marzeniem jest wyjechać do Albuquerque!...

- A twoim zapaść brwi!

- Już nawet w łóżku jest jak ta ghulica... Muszę jej zakładać papierową torbę na głowę. I psu również, żeby nie stracił do mnie resztek szacunku... A bez opróżnienia połówki, to nawet o tym nie pomyślę...

- Gdybyś musiał pić przed każdym naszym pójściem do łóżka, już dawno wysiadłaby ci wątroba! Ty za to za każdym razem mówisz: "przepraszam, będę dochodził"!...

- O nie! O nie!!! Nie mogłem być przy porodzie własnego syna!...

- Nie było cię przy poczęciu, to i przy porodzie być nie musiałeś!

Alcestowi chyba skończyły się argumenty. Westchnął i pokręcił głową ze zrezygnowaniem. Petranela wskazała mu palcem drzwi. Doszedł do nich, nagle odwrócił się i zdzielił żonę w głowę.

- Za co, mój luby?! Za co?!

- Bo jak sobie pomyślę, żeś ty cnoty nie miała...

Wyszedł z baru, a zanim jego żona.

Cała sala wybuchła śmiechem. Uszu Seana i Lisy dobiegł flegmatyczny głos od drzwi wejściowych. Krępy ghul pomagał pozbierać się karzełkowi-ochroniarzowi, który został zmieciony pod stół, gdy Petranela wkroczyła do "Harfy". Karzeł Farmer otrzepał się i usiadł przy stoliku.

- To mi przywiodło na pamięć jedną białogłową, z którą onegdaj spiknąłem – powiedział niskim basem. – Och, była to jurna dziewoja, sielnie wypasiona, a jużci! Obelgała mnie jednak i oszwabiła! Podła rajfunda! Bezecna, szubrawa i występna! Wszystkie te schadzki, wszystkie sam na sam, rendez vous, tete-a-tete, to była pospolita granda! Cóż za kołtuństwo – tak imputować! Cóż za puc i łgarstwo! Ech... – zakończył z goryczą.

- Nigdy go tak naprawdę nie rozumiałem. Ale truje gorzej niż Gordon o tej swojej chciwości – powiedział Wooz niby do siebie. – Witaj, Lenny, nasi goście chcieli cię poznać. To Sean i Lisa. Wędrowcy.

- Witajcie – odrzekł silnie zbudowany ghul ociężałym, niemrawym głosem, zupełnie do niego niepasującym.

- Co słyszać w mieście?

- Harold wściekł się na Festusa. Znowu zgubił gdzieś dzienne raporty...

- Dobra, dobra. Opowiedz nam swój najgorszy przypadek medyczny.

- Przecież wiesz, jak tego nie lubię...

- Daj spokój, Sean i Lisa jeszcze tego nie słyszeli.

- No więc... To było jeszcze przed wojną... Mężczyznę przejechał pociąg... Rozpółował go na pół, ale obieg krwi pozostał zamknięty i mógł przeżyć... Przyjechały dwie karetki... Tors załadowali do jednej, a nogi do drugiej... Niestety, pojechały do dwóch różnych szpitali i...

Wooz przerwał mu histerycznym śmiechem. Opanował się dopiero po kilku minutach.

- Zawsze, kiedy to słyszę, ryczę ze śmiechu – powiedział, ocierając śluz spod oczu, który zapewne był łzami.

Seana i Lisę również rozbawiła ta historia, ale nie do tego stopnia. Lenny smętnie patrzył się na barmana.

- Wybaczcie – Wooz pociągnął nosem. – Hej, co to za fetor? Mózg opuścił swoją kryjówkę?

W tym momencie przez drzwi wejściowe przeszedł wyświechtany, stary ghul, w podartych łachmanach, uwalany ziemią i brudny do granic możliwości. Było jasne, że odór pochodził od niego. Rozejrzał się wokół, podparł biodra ramionami i rzekł:

- Nareszcie w domu...

- Cholera, ja cię znam... – rzekł Wooz.

- Tata? – szepnął Lenny.

- No jasne, Willy Trumnik, jak słowo daję! Schudłeś jak cholera!...

- To naprawdę ty! – krzyknął Lenny i podbiegł do ghula. Ten jednak otrząsnął się od niego jak od muchy.

- Odejdź, Lenny, tata jest zmęczony i musi się napić...

- Ale nie widzieliśmy się do ponad stu sześćdziesięciu lat!...

Ale Willy nie słuchał go. Podszedł do baru i usiadł przy wolnym stoliku.

- Wooz, "Łyk" i...

- Trzy browary, pamiętam jakby to było wczoraj – odrzekł Wooz z szerokim uśmiechem. Po chwili jednak pokręcił resztką nosa, która pozostała mu na twarzy. – Willy, muszę ci powiedzieć, że śmierdzisz gorzej niż Mózg, Lumpy i my wszyscy jak tu siedzimy.

Wooz dosiadł się do niego. Willy opróżnił kieliszek.

- Co się z tobą działo, tato? – zapytał Lenny, siadając u jego stóp.

- Było się tu i tam – odrzekł ghul, prostując się w krześle. – Pamiętacie Typhona, syna Seta?

- No jak! – odrzekł Wooz. – Jeremiasz to przy nim początkujący dewiant. Trzy razy dziennie dmuchał lalę... też dmuchaną. A "Kocią Łapkę" zaprenumerował jeszcze przed wydaniem pierwszego numeru.

- Ha, ha, a to jego motto...

- Tak – potwór nie potwór, ważne, że otwór. Co z nim?

- Zarznął się.

- Słucham?

- No – wyzionął ducha, jak dmuchał lałę.
- No cóż, przynajmniej był w niebie jeszcze zanim umarł. Hm... niewielka to strata dla naszej zmutowanej populacji. Dołączył do tatusia.
- Seth... Z niego to był kawał...
- Oj, był, był... Chociaż w jednym miał rację – pasta z jaszczurki nie jest dobra na żyłaki... Gdzie się podziewałeś?
- Wędrowałem sobie tu i tam... Aż trafiłem do New Reno. Tam jakiś sukinsyn podpuścił mnie, żebym opędzłował jedna pakamerę. Byłem trochę głodny, więc zapytałem gdzie ona się znajduje. On do mnie, że przy takim budynku z namalowaną rybą. Połaziłem tam i wbijam się oknem. Ale że miałem jeszcze wtedy trochę brzuszka, to się, cholera, zaklinowałem. Rano znalazł mnie jeden z bramkarzy. Okazało się, że to speluna jakiegoś gangstera.
- I co?
- Wywieźli mnie na jakiś cmentarz i zakopali żywcem... Zero szacunku dla ghuli. Później odkopał mnie jakiś gość, ale słońce tak mnie oślepiło, że nawet nie zauważyłem, kto to był. Ruszyłem z powrotem. Dotarłem do jakiejś śmierdzącej miejsciny. Pomyślałem sobie, że tam osiadę, ale... Była pełna gówna. Dosłownie – wszędzie widziałem tylko braminie łajno. Poza tym jakiś dwóch skrzeczających idiotów ciągle się ze sobą kłóciło. Szybko mnie sobą zmęczyli. Więc wróciłem tutaj.
- Cholera, Willy...
- To jeszcze nie koniec. Dzień drogi stąd spotkałem jakąś dziwną grupę gładkoskórków. Jeden z nich, chyba ich przywódca, był cały w (s)kłaczkach. Obok niego szło dwóch z działkami obrotowymi i wielkimi literami "U" na klatkach piersiowych. Za nimi dwóch kolejnych: jeden z tak wielkimi cojones, jakich jeszcze w życiu nie widziałem i drugi, który na twarzy miał wymalowany istny sajgon. Dwóch ostatnich trzymało jakiś transparent. Jeden wyglądał jakby ciągle wstrzymywał, a ostatniego... już sam nie wiem jak opisać.
- Co było na tym transparencie?
- Tylko tyle, że szli na ustawkę z jakąś... pocztą na wylocie, czy coś. Ten ich lider jak w amoku powtarzał coś o plebiksach i jabotach. Wyzwał mnie od wahhabita i ajatollaha, a na koniec podarował naszywkę.
- Dziwny kolektyw, nie uważasz?
- Nagle ghul Godfryd potężnie kichnął, opluwając śluzem kark Wooza.
- Jasna cholera, Godfrydzie!...
- Mówiłem ci, że mam uczulenie na twoją knajpę...
- To po kiego grzyba tu przyłazisz?
- Tutaj czuję się jak w domu...

Wtedy Sean i Lisa zrozumieli, że na nich pora. Muszą poszukać lub wybudować sobie taki dom, jak ghule w Gecko, by zachować choć pozory normalności w tym dziwnym świecie, w którym przyszło im żyć...

Wszelkie podobieństwo do osób lub ghuli żyjących w rzeczywistości jest całkowicie i celowo przypadkowe.